

Bydle



GABRIELA ZAPOLSKA

MENAŻERIA LUDZKA

Bydlę

Zaturkotało i na drodze od miasta wiodącej podniósł się tuman kurzu.

Niewielki koczyc¹ zielony, ciągniony przez czwórkę w poręcz sprężonych koni, stuknął silnie o belkę położoną na poprzek tuż przed chatą Hieronima i ku bramie dworskiej podązał.

Na koźle, w szaraczkowy surdut² ubrany stangret i lokaj w długim czarnym anglezie³, zetknęli się gwałtownie ramionami, zakłęli i do równowagi wrócili.

Z koczycyka tymczasem na obie strony, jak drogowskazy, sterczały dwa olbrzymie cybuchy, ciemne, z fajkami wypchanymi silnie tytoniem.

Pan hrabia i pani hrabina palili w milczeniu, rzucając w jasność liliową wołyńskiej przestrzeni całe kłęby białego dymu.

Pudełko z tytoniem stało na przednim siedzeniu.

Pani hrabina miała płaszczyk i twarz lśniąca od nadużycia gliceryny.

Pan hrabia miał prześliczne turkusowe oczy, wprawione w poźółkłą maskę zgryzionego wątrobiarza⁴.

Koczycy stanął przed bramą.

Lokaj zlął powoli i za wrota pociągnął, pasące się obok stado gęsi uciekło z przerażającym wrzaskiem.

Koczycy próg bramy przestąpił, wstrząsając woźnicą, pudłem, panią hrabiną, panem hrabią i obydwoma cybuchami.

Gęsi, drąc się, leciały wśród masy traw, łopocząc skrzydłami, i hen, aż pod tajemnicze gąszcze ożyn⁵ się dostawszy, przypadły do ziemi, zdyszane i srodze zmęczone. Lecz już na ganku dworu powstał ruch i w kredensie Janek, czytający *Resurrecturi*⁶ w „Tygodniku Ilustrowanym”, otarł nos w znaczący sposób.

— Czort diabła niesie! — wyrzekł półgłosem.

Znad tapczanu surdut zdjął, poślinił welwetowy kołnierz, na którym łupież silnie przyłgnał, surdut nadział i powłócząc nogami, na ganek podążył.

Już pani sędzina pędziła od strony garderoby, pokrzykując cienko:

— Z Hati! Hrabstwo z Hati!

I szybko odwróciła się do Janka, który melancholijnie spod spadającej hyry na swą panią spoglądał.

— A ty mi się nie upij, bo jak Boga kocham, tak już z tobą koniec zrobię! Słyszysz?

Janek brwi zmarszczył i za poły surduta obydwoma rękami się schwyił.

— Słyszę, jaśnie pani! — odparł.

Koczycy z głuchym szumem już przed ganek zajechał.

Sędzina wpadła we drzwi prowadzące do głębi dworku, a Janek, ze specjalnym gestem ze stopni ganku schodząc, drzwi wchodowe⁷ hrabstwu ukazywał.

— Państwo w domu? — zapytał hrabia.

¹koczycy — rodzaj czterokołowego powozu. [przypis edytorski]

²surdut — długa dwurzędowa marynarka popularna na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

³anglez — dłuższa odmiana surduta. [przypis edytorski]

⁴wątrobiarz — mężczyzna z chorą wątrobą. [przypis edytorski]

⁵ożyny (reg.) — jeżyny. [przypis edytorski]

⁶Resurrecturi — powieść J. I. Kraszewskiego. [przypis edytorski]

⁷wchodowy — dziś popr.: wejściowy. [przypis edytorski]

— Jaśnie państwo są! — odpowiedział lokaj.
Cybuchy i tytoń na rękach lokaja wędrowały już w głąb domu.
— A uważaj, kanalio, abys cybucha nie przetrzącił! — dodał w formie uwagi hrabia.

Nie, to było ponad jego siły!
Musi pójść do karczmy.

Chodzi, chodzi naokoło stołu, pociąga obrus, karbuje sól w solniczce, ustawia garnuszeczki ze śmietanką. Na środku piramida z poziomek krwawi się plamą purpury wśród zielonych liści. Po obu stronach, na złożonych porcelanowych koszyczkach, rudym tonem znaczą się świeże obwarzanki, cukier miałki piętrzy się piramidką prawie skrzącą w promieniach zachodzącego słońca.

Poprzez okno na wpół otwarte płynie cała taka struga ognista, przecięta smukłością topoli, sterczących dokoła dworu.

Jeszcze bydło z pola nie wraca.

Nie słychać kołatek ani hukania pastuchów poza wodą, hen poza stawem.

Janek ręce po napoleońsku na piersiach złożył i stanął koło okna.

Włożył liliowy atlasowy krawat i włosy jasnobłond, w których srebrne nici się bielą, olejkiem zlał i z czoła odgarnął.

Czeka, aż kucharz kurczęta z przypadłej opodal dworu kuchenki do kredensu przyniesie.

Wtedy samowar, syczący w kredensie, do jadalni wniesie, na stoliku obok ustawi, otworzy drzwi do salonu i zaanonsuje niskim głosem:

— Podano do stołu!

Tymczasem przecież coś go we wnętrzu ssie jak wąż, a śliny w ustach pełno.

Janek wie dobrze, co to znaczy...

Czco mu; do karczmy go ciągnie.

A jest ona tam po drugiej stronie stawu, ta karczma cała czarna mimo czerwonej jasności słońca.

Janek drogę tę od lat trzydziestu zna.

Zmienił ją tylko od chwili ożenienia. Trzeba bowiem było ze dworu do karczmy właśnie koło chaty iść, chaty, którą mu jaśnie pani dała, kiedy Warkę z garderoby wziął i z „werczem” do dworu przyszedł.

Pani chatę i Warkę dała, ale Warka darła się o wódkę z Jankiem i zaraz na próg chaty wypadała, za poły surduta chwylała i zawodziła het, jak suka, gdy jej szczenięta odbierają.

Wiedziała Warka, że jaśnie pani ma tego pijaństwa Jankowego dosyć i lada chwila go z kredensu wygna precz.

Tym bardziej że Janek nie pił całe miesiące i tylko, gdy gość się zjawił, wnet do karczmy pędził i za siwuchę⁸ chwylał.

A przecież trzydziści lat już w Horodyszczu przetrwał służąc wiernie, nieposzlakowanie uczciwy, pełen arystokratycznych przesądów, właściwych wołyńskiemu chłopu, cerując dywany i szlafroki pana sędziego, objając sofy w buduarze panny sędziarki, obszywając gościnne kołdry na trawie dziedzińca, kolekcjonując „Tygodnik Ilustrowany”, bijąc Warkę i najstarszą córkę, Paraskę, tyranizując chłopaków kredensowych i leżąc bez pamięci, od czasu do czasu, w krzakach berbersy, które bukietem blaszanych liści i delikatnych jagód wznosiły się na środku dziedzińca.

Pani sędzina nazywała go wtedy „bydlę”. Była to nazwa mniej wykwintna niż dosadna.

Pani sędzina była jednak córką ekonoma. Stąd miała dużo poczuć arystokratycznych wrodzonych!...

Lokaj, a zwłaszcza pijany lokaj, był dla niej bydlęciem!

Hrabia mówił na swoją służbę „kanalia”.

Pani sędzina mówiła „bydlę”.

Pani sędzina nie lubiła chłopów i nie wdawała się z nimi w bliższe stosunki. Tolerowała tylko chłopki, gdyż jej przynosiły kury albo jaja, związane w szmaty.

⁸siwucha — wódka. [przypis edytorski]

Pan sędzia ciągnął namiętnie starkę⁹ rano i wieczorem, a czasem i w nocy.
Pani sędzina znajdowała to naturalnym.
Co innego było z pijaństwem Janka!...
Co wolno panu — nie wolno bydłęciu.
Pani sędzina, mówiąc o pijaństwie męża, mówiła „słabość mego męża”.
Pijaństwo Janka było zbrodnią, nie chorobą.
Lokaj nie mógł być chory!
Organizm jego nie mógł żądać alkoholu.
Janek pijany — był bydłęciem.
Pan sędzia pijany był... słabym!
Przekonanie to wpoila pani sędzina w Warkę.
Dlatego teraz Janek miał schowane w oczerecie¹⁰ czółno i drag i poprzez staw się do karczmy Szmula dobijał.

Kiedy bowiem szedł przez wieś — a Warka, broń Boże, „cupała” w ogrodzie za chruściakiem przy burakach albo tytoniu — to porywała się z wrzaskiem, aż jej medaliki po piersiach dzwoniły.

— A doloć moja, dolo zatracona!... — krzyczała, przez płot przelażąc, rozdzierając spódnicę, zapaskę, z „dołami” najeżonymi dokoła twarzy jak faworyty¹¹ pana sędziego.

I był to lament tak wielki, że wszystkie baby, jakie były w chacie, wypadały na drogę z koszulami zawiniętymi po kolana, z zapaskami ubielonymi mąką, ta od łatania świty, ta od przewijania dziecka. Wszystkie otaczały Janka i Warkę, łamały ręce, kiwały głowami, a dokoła podskakiwały dzieci w zgrzebnych koszulach, czasem zupełnie nagie, z masą jasnych włosów na spiczastych głowach, i kwiczały prosięta zbiegłe ze źle domkniętych chlewików...

Teraz — Janek już potrafił unikać tej gorącej łaźni. Wprost do stawu szedł, w czółno wskakiwał i wodę pruł, aż szumiała. Potem do drugiego brzegu gdy się dobił, to już do Szmula było tylko kilkadziesiąt kroków — i łatwo było się dobrać. Wracał jednak wolniej, na wpół przytomny, potrzebując mało do pełnego upojenia, rozstrojony zupełnie nerwowo, mając dziwną naturę wtłoczoną w smutne ciało dworskiego służalca, z fantazją przepelnioną wizjami powieści i artykułów, których nie rozumiał w setnej części, z tęsknotą straszłą, wrodzoną Wołyniakom, z tą tęsknotą, co serce z piersi wyrывa za czymś, czego określić na razie niepodobna¹², co szum sosen, zapach poziomek, krzyk spłoszonej geśli, skrzyp wrót nagle budzi i potem jak druga dusza w ciele pokutuje, rwie, szarpie, nęka o zachodzie słońca i życia.

Bydłę miało to wszystko w sobie, to wycie rozpaczliwe w pustkę, która się powiększa z dniem każdym. Jak duch pokutujący, jak trup, któremu nie dano mogiły i domowinki uskąpiono, tak błąkał się Janek od karczmy do dworu z „Tygodnikiem” sterczącym brudną bielą druku w obciągniętej kieszeni surduta. Włosy mu posiwiały, twarz o delikatnych rysach nerwowego blondyna nabrzękała, oczy zmalowały i z jasnoblękitnych zrobiły się żółte. Plecy wygięły się w kabłąk, ręce jedne pozostawały nerwowe, silne, suche, jakby cała siła woli lokaja skoncentrowała się w tych rękach, w których była potęga jego pracy. Gdy z krzaków berbersów podnosił się po okresie¹³ pijaństwa, zaciskał silnie pięści, jakby próbując, czy cała wola pozostała w nim jeszcze, czy nie spływa razem z umysłem w ten cień niepochwytny, który go otaczał i do karczmy iść kazał.

I — z pięściami jeszcze zaciśniętymi — szedł prosto do kredensu, do swego tapczanu, na którym wylegiwał się w czasie jego nieobecności Józiek.

— Won, bydłę! — mówił chwytając chłopca za kołnierz — won, pan wrócił!

Kucharz nie dawał znaku życia i tylko z kuchenki dobywał się wąski pasek dymu, który się aż nad drzewa owocowe wznosił.

⁹staraka — odmiana wódki poddawanej leżakowaniu. [przypis edytorski]

¹⁰oczeret — zarośla nadbrzeżne. [przypis edytorski]

¹¹faworyty — pasma zarostu na policzkach. [przypis edytorski]

¹²niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne a niemożliwe. [przypis edytorski]

¹³period (z łac.) — okres. [przypis edytorski]

Janek na lipę pod oknami patrzył i przypominał sobie, którego to było roku, gdy piorun w nią uderzył.

Pan sędzia wtedy do Żytomierza na wybory pojechał.

Ale który to był rok, za nic przypomnieć sobie nie może.

Nagle zakolatało na drodze.

Ha! Ha! A! A!...

Bydło wraca do obór, pastuchy do chat.

Nie widać ich z okna, tylko duża smuga poza stawem się ściele, biała jak wielki kłęb powstającej pary.

I razem z tym jękiem chłopów goniących bydło jakaś nieokreślona tęsknota spada na całą wieś.

Słońce nie świeci jaskrawo.

Żółte i jakby gasnące zapada coraz niżej.

Coś się nad ziemią snuje, coś jakby widma z grobów wstające, szepczące tajemnicę mogił, trupich czaszek rozhowory¹⁴.

Janek określić tego nie umie, rwie się w nim tylko coś i w przepaść dąży.

Obejrzał się jeszcze raz ku kuchni.

Nie widzi nikogo.

Zanim kurczęta podadzą, on przez staw przepłynie i powróci.

Wypije tylko jeden kieliszek, jeden tylko, aby lepiej służyć do stołu...

Czuje bowiem, że jest cały z waty i na nogach się nie utrzyma.

Wyskoczył przez okno, wpadł w grządkę nasturcji, zaklął i jak zając poprzez trawniki pomykać zaczął.

Do stawu dopadł, do oczeretu, w którym drzemało płaskie, z trochę lśniącej wody na dnie, czółno.

W czółno wskoczył, za drąg porwał, splunął w garść i od brzegu się odepchnął.

W tej chwili ciemny pas jakby od żałobnego całunu na wodę padł.

Janek w pas ten wpłynął i nawet białe smugi, które zwykle czółno po sobie zostawia, krepy tej rozjaśnić nie mogły.

Od strony wsi kołatały wciąż drewniane dzwonki i wlokło się jęśliwe zawrozenie.

Ha!... A! A!...

Janek w głosy te wsłuchiwał się i czuł, że pod dworskim surdudem, z którego numer „Tygodnika” wystawał, w piersi rwały mu się całe przepaście, ech, na dźwięk tych chłopskich nut.

Ha!... A! A!...

W tej samej chwili z kuchenki Józik z półmiskiem kurcząt wypadł i ku dworowi dążył.

Idąc, mimo woli dziecinny głośnikiem powtarzał:

Ha!... A! A!...

Bose zastępy ku sobie się rwały, ręce łączyły w tęsknocie nieokreślonej, co ku nim spod ziemi płynęła.

Gdy Janek wreszcie z krzaków berbersy powstał i do kredensu się powlókł, zastał tam, oprócz Józika, jakiegoś młokosa ubranego w szary surdut, bez wąsów, z miną wyćwiczonego złodzieja nastawiającego samowar.

Janek do intruza podszedł i ręce wyciągnął.

— Czego to pan się do samowaru miesza? — zapytał zaspamym i powolnym głosem.

Lecz nowy lokaj zmierzył go od stóp do głów.

— Jaśnie pani kazała nastawić samowar! — wyrzekł i znów, za stary but z cholewą chwyciwszy, koło samowara krzątać się zaczął.

Janek osunął się w kąt i na swym tapczanie przysiadł. Powoli jednak ręce jego namały inną derkę, nie jego własną. Pochylił się i w ukośnym promieniu, idącym z okna, które lipy zaciemniały zupełnie, dostrzegł całą obcą pościel na swym łóżku. Poduszka była z irchy, druga gumowa, wypchana powietrzem, widocznie skradziona lub otrzymana w prezencie. Tylko nad tapczanem rozkładał się jeszcze szmat gobelinu, na którym widać

¹⁴rozhovor (rus.) — rozmowa. [przypis edytorski]

było szerniałe, jak nogi topielca, nogi jakiegoś mitologicznego bohatera i płamę kobiecej purpurowej sukni.

Za obrębem gobelinu zatknięty obrazek z „Tygodnika”, kilka plam, fotografia pana sędziego, stara strzelba, profitka z różowych paciorek służąca za pantofelek do zegarka — wszystko jeszcze było na swoim miejscu, nieruszone i jakby uszanowane.

Janek podniósł się i do okna podszedł.

Tam był zawsze szuwaks¹⁵ i szczotki do butów, ustawione we framudze razem z kałamarzem i gęsimi piórami, które Janek dla pana sędziego temperował.

Pióra znikły, kałamarz także, pomimo tego, że lat dwadzieścia stały na tym miejscu...

Janek ogarnęło złe przeczucie. Powoli spode łba spojrzął na młokosa, który samowar już z ziemi podniósł i do pokoju podać się gotował.

Janek kilka kroków postąpił.

— Ja zaniosę!

— Nie trza — wyrzekł ten drugi, nogą drzwi otwierając.

Janek pozostał na środku kredensu, w którym zaczynał zapadać powoli zmrok, przez abażur lipowych gałęzi koło okien rozpostartych.

Nagle w bocznych drzwiach ukazała się pani sędzina.

Miała usta silnie zaciśnięte i oczy zmrużone.

— Niech Janek zabiera swoje rzeczy i idzie precz, zaraz... od dzisiaj!... Jaśnie pan za dwa dni wróci, to się z Jankiem obliczy! Trzeba się mi dzisiaj wynosić, mam już dosyć pijaków w kredensie!

Ręką tłustą i żółtą drzwi ukazywała.

Ręka ta w ciemności kredensu majaczyła przed Jankiem jak plama jasna, obwiedziona dokoła błękitną obwódka.

— Jaśnie pani!... — wybełkotał wreszcie — ja... ostatni raz!...

— Ta, ta, ta!... — przerwała sędzina — już mam dosyć trzydzieści lat takich skandal!... Janek niech się wynosi, bo wyrzucić każę!

Janek się wyprostował.

— Jaśnie pani wyrzucać nie ma potrzeby. Ja sam pójdę, choć trzydzieści lat wierniem przy służbie warowa!

Sędzina parsknęła śmiechem.

— Bo to psi wasz obowiązek! Za pensję i ordynarię¹⁶ jeszcze każdy wierny będzie.

Janek drżał cały, włosy mu na czoło spadły. Cofnął się w cień kredensu i milczał chwilę, wreszcie, jakby chcąc upokorzyć sędzinę.

— W konduktory pójdę!... — wyrzekł zdławionym głosem.

Sędzina ku drzwiom zmierzała.

— Z Panem Bogiem! Właśnie tam na pijaków czekają! A wynoś mi się dziś jeszcze!.. won!... won!...

Wyszła.

Janek pozostał sam.

Obejrzał się dokoła i nagle uczył w sercu ból straszny.

Trzydzieści lat przeżył w tych ciemnych ścianach kredensu, w których zapach razowego chleba miesza się z wonią stygnących na półmiskach tłuszczów. W ciemnicy tej przeszedł życie całe, waląc się w nocy na tapczan, jak kłoda, smutny, wiecznie znękan, zniechęcony do życia, a mimo to bałwochwalczo do tych miejsc przywiązany.

Chata, w której mieszkała jego żona, nie była mu domem, chodził tam w gościnę, w chwilach wolnych, nie pamiętając i nie wiedząc nawet, jakie imiona miały jego dzieci.

Od grzebania się w ziemi i mieszkania w izbie z uklepaną z gliny podłogą odwykł i tylko w kredensie żyć już mógł, w tym kredensie pomiędzy szafą z ubraniami pana sędziego a kantorkiem, w którym chował roczniki „Tygodnika Ilustrowanego”. Dziś mu każą iść precz, nie pamiętając, że on, Janek, ma religię ścian, wspomnień i sprzętów, że on się tu przekolał całe lata, całe noce, całe jesienne wieczory, obrębiając ścierki, wsłuchany w tony fortepianu, na którym uczyła się panna sędzianka i który dzwonił jak szklana kołatka spoza stawu w smudze białej płynąca.

¹⁵szuwaks (daw.) — czarna pasta do butów. [przypis edytorski]

¹⁶ordynaria — część wypłaty dla służby dworskiej wydawana w naturze. [przypis edytorski]

Kazano mu iść „won”, a przecież tam, przez ścianę, jest szafa, w której jest *jego* porcelana, *jego* srebro, *jego* szkło.

Trzydzieści lat myje, ociera, czyści tę całą zastawę... to więc wszystko mu po prostu w duszę wrosło i on tego z siebie wyrwać nie może! nie może!...

A piece! Te wielkie piece wszystkie schodzące się w jednej wielkiej izbie, w którą szedł wczesnym zimowym rankiem, za Józikiem niosącym całe naręczce polan grubych jak ludzkie nogi. On, Janek, niósł świece. Stearyna kapiała mu po rękach, a on przez trzydzieści lat nie oparował nigdy świcy w lichtarz. Miał takich przyzwyczajęń mnóstwo, teraz wszystkie jak mary otoczyły go i za gardło chwyciły.

Nawet ta pani sędzina, która wygnała go tak bezlitośnie, nawet ten pan sędzia, który nieraz uderzył go w kark i „wysobaczył” po swojemu, nawet ta panna sędzianka zatykająca nos, gdy przechodziła przez kredens, wszyscy oni byli mu teraz drodzy w chwili utraty.

Kochał ich przywiązaniem psa, który nie dość, że dobytku pana strzeże, jeszcze pana tego kocha i po rękach liże.

Powiedział pani — „pójdę w konduktory”, ale teraz, w tej chwili, myśleć o tym nie mógł. Dławił się własną żalością.

Nerwy tego chłopca zalkoholizowanego tańczyły piekielną sarabandę¹⁷ bezsilnej rozpacz.

Gdyby mógł się rozplakać, byłoby mu lżej. Lecz nie, lzy go piekły, były w nim całym, rwały mu serce, paliły powieki, płynąć mu jednak nie chciały.

„Bydlę”... cierpiało.

Po chwili przecież Janek ocknął się, zbliżył się do tapczanu i szalonym ruchem zdarł ze ściany gobelin. Profitka, fotografie upadły na ziemię. On schylił się, podniósł je, wetknął za pazuchę, potem podszedł do kantorka, wyjął całą masę gazet i w gobelin zawinął. Czynił to machinalnie, gryząc wargi. Zwrócił się po ubranie, które wisiało na gwoździach wbitych w ścianę, lecz machnął ręką i tylko tłumok z gazetami pod pachę wziął, czapkę na głowę nasadził.

Wreszcie z kredensu wyszedł.

Przeszedł pod lipami i wy dostał się na trawniki. Słońce znów zachodziło całe krwawe, na wiatr się znacząc. Staw w ciszy i w obramowaniu oczeretu drzemał, a nad jego brzegiem, na pagórku, brzoza dziwaczna i pokręcona długie gałęzie w wodzie rozpaczliwie moczyła. Janek machinalnie do stawu się skierował i czólno odszukawszy, gobelin z książkami na dno czólna cisnął. Po czym sam w łódź wlaź i drąg chwycił. Zdawało mu się, że idzie gdzieś w daleką drogę, a ten drugi brzeg nigdy nie trąci o drzewo czólna. Drżącymi rękami drąg pchnął i na staw wypłynął.

Cisza była dokoła prawie kościelna.

Janek szmer wody tylko słyszał, która się skarżyła cicho na ciężar, jaki jej nieść kazano.

I nagle, z daleka, delikatny, jakby krepą przysłonięty, daje się słyszeć głos kołatek i przeciągły jęk pastuchów.

Serce Janka, które było w tej chwili jedną raną, targnęło się jeszcze silniej, i codzienna melancholia, tłocząca go ku ziemi, wżarła się w boleść rozstania z tym, co już za swoje przywykł uważać, go się z nim zrosło, z czym umrzeć miał...

Przed nim bielił się dwór, nieduży, silny, dobrze rozłożony na tle masy drzew. Z boku widać było ganeczki i wejście do kredensu. Do kredensu!...

I nagle porwał Janka szal.

Schwycił gobelin i cisnął go w wodę.

— Szczeńnij — zasyczał przez zęby.

Gobelin zakołysał się w wodzie i pozostał tak rozciągnięty, prezentując w świetle krwawego słońca wypłowiałą barwę delikatnych linii.

Janek drągiem gobelin w wodę zanurzać zaczął.

— Szczeńnij!... — syczał.

Był cały teraz czerwonony, z sinymi pręgami żył po obu stronach skroni. Z serca krew mu płynęła na mózg zatruty siwuchą. Pijany był w tej chwili, pijany rozpaczą.

Samobójstwo

¹⁷*sarabanda* — szybki taniec hiszpański. [przypis edytorski]

Za nim wciąż kołatki grały.

Teraz pochylił się, cały stos „Tygodnika” w wodę wrzucił. Woda prysnęła miałą masą, łódka zachybotwała, Janek nogą w ścianę czołna kopnął.

— Na pohybel¹⁸ ci! — zaklął.

Nie dokończył, bo czołno się gwałtownie przechyliło, a on z dziką radością, po raz pierwszy w życiu roześmiany serdecznym, gorącym śmiechem, w wodę skoczył, waląc się głową naprzód, tak jak zwyczajnie na swój tapczan w kredensie się walił.

Teraz kołatki triumfalnie wypłynęły nad brzeg stawu i dzwoniły ciągle mistyczną litanie w obłoku białym z ziemi się wznoszącym.

Na stawie była cisza zupełna i kołysało się tylko próżne czołno, które powoli wróciło do swej równowagi...

¹⁸*Na pohybel* (rus.) — zgin! [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/menazeria-ludzka-bydle>

Tekst opracowany na podstawie: Gabriela Zapolska, *Menazeria ludzka*, Kantor Wydawniczy SAWW, Poznań 1994.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).